1845. Nr 11. ROK 4.

Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

PODRÓŻE POLAKÓW

W ROKU 1844 i 1845.

W ostatnich kilku latach, wpośród mnóstwa innych gałęzi piśmiennictwa polskiego, dość wydatném się stało, co do ilości, podróżo-pisarstwo. Mijając (przed 1844 r. wydane) podróże Władysława Wężyka, J. J. Kraszewskiego, Ludwika Pietrusińskiego, Michała Balińskiego, Aleksandra Przezdzieckiego i drobniejsze po pismach czasowych rozrzucone, o których późniéj powiémy, — oto jest szereg pism tego rodzaju w czasie przez nas wziętym pod rozwagę:

1) Pielgrzymka do ziemi świętéj, odprawiona przez ks. Hołowińskiego. Tom I stronnic 246, T. II str. 452, T. III str. 478, T. IV str. 369. Wilno.

2) Obrazy Jeruzalem i Betleem, przekład Jucewicza, wydany w Wilnie u Rubena Rafałowicza.

3) Podróż do Prus, Saksonii i Czech, odbyta w roku 1838—1839 przez Julijana Mószyńskiego, doktora medycyny, członka towarzystwa lekarskiego i dobroczynności w Wilnie, T. I str. 290, T. II. str. 296. Nakładem Rubena Rafałowicza księgarza wileńskiego. Wilno. W drukarni M. Romma 1844.

4) Wspomnienia Rzymu, dzieło M. B. Poujoulat, przekład Zenonima Aucyporowicza, Warszawa, 1844, str. 238.

5) Wspomnienia z podróży po Krymie, przez Edmunda Chojeckiego, 1845, str. 313.

6) Wspomnienia z Wenecyi, Kolei żelaznéj lipnicko-wiedeńskiéj, Wiednia, Karpat wadowickich, Frankfurtu nad Menem i przelotu z Krakowa do Tatr spiskich, zebrał doktór prawa Ludwik Pietrusiński. Warszawa. Nakładem G. Sennewalda. 1845 T. I, str. 532, T. II str. 522.

Te dwa tomy stanowią, jakby ciąg dalszy piérwéj wydanego we 2 tomach dzieła p. t. „Podróże, przejażdżki i przechadzki po Europie" przez tegoż autora. (Patrz str. 169, T. II, z 1843 Przeglądu naukowego.)

7) Wspomnienia o Danii, Norwegii, Anglii, Portugalii, Hiszpanii i Maroko, przez doktora T. T. (znane nam tylko z ogłoszeń księgarskich, gdyż jeszcze w handlu się nie znajdują).

8) Wspomnienia krótkiéj podróży przez Annę Nakwaską 1844, (w Pielgrzymie p. Ziemięckiéj 1845).

9) Opis przejazdu przez Niemcy (w listach) p. K. z T. Hoffmanową. Lipsk. 1844, str. 228.

10) Wycieczka z Krakowa w Karpaty do morskiego oka przez Panią Korn. P. (w Pielgrzymie 1844 r.)

11) Miasta, góry i doliny, 5 tomów przez Ł. z G. Rautenstrauch.

12) Wrażenia, myśli, krajobrazy i Wspomnienia z podróży na wschód Alfonsa de Lamartine, przełożył J. S. Jasiński. Tomów 4 w dwunastce większéj.

13) Podróż w Rossyi południowéj i Krymie w roku 1837 dokonana przez uczonych francuskich: De Saison, Le Play, Hout, Leveille, Rousseau, De Nordmann, Du Ponceau, i malarza Raffet. odbyta pod kierunkiem Anatola Demidów. Przekład Wojciecha Szymanowskiego, tłumacza *Historyi podróży i odkryć*, wydanych w r. 1842.

(Z tego dzieła i ze Zbornika P. Keppen, najwięcéj korzystał P. Chojecki.)

14) Wspomnienia Odessy, Jedyssanu i Budżaku. Dziennik przejażdżki w roku 1843 od 22 czerwca do 11 września przez J. J Kraszewskiego, członka czynnego towarzystwa odeskiego Historyi i starożytności. Wilno. 1844. Nakład i druk Glücksberga. T. I str. 296. T. II str. 313, w ósemce większéj.

(Tom trzeci jeszcze nie wyszedł, przeto i zdanie nasze po ukończeniu dzieła objawimy).

Ze wszystkich tu wymienionych podróży, napisanych oryginalnie po polsku, najwięcéj mogą zająć czytelników, *Miasta, góry i doliny*, *Pielgrzymka* ks. Hołowińskiego i Opisanie Prus, Czech i Saksonii Dra Mószyńskiego. *Podróż do Danii*, *Norwegii* i t. d., jeszcze nas nie doszła. O tłumaczeniach pp. Jasińskiego, Szymanowskiego, Jucewicza i Aucyporowicza, jako o *przekładach*, nic ma nic do powiedzenia. Chybaby przyszło tu wspomniéć o dobroci przekładania. Co do czystości więc języka, na piérwszém miejscu położylibyśmy tłumaczenie Jucewicza; co do wyboru przedmiotu, przekład P. Jasińskiego, który trafiając (widać) w smak powszechności czytającéj, nie wybrał ciężkich historycznych badań, lecz tylko malownicze, lekkie, wybujałe obrazy fantazyi poetycznéj. Wzmiankę także należałoby tu i dla biblijografii uczynić, że toż samo dziełko Lamartina, zaczął był tłumaczyć przed kilku laty Olechowski, ale zaledwie wyszło z druku parę zeszytów. — Z przejażdżki Hoffmanowéj, w N. 35 i 36 zeszłoroczne-

go Przeglądu naukowego, było już sprawozdanie. *Wspomnienia z podróży do Krymu* Edmunda Chojeckiego rozebrane krytycznie, mieszczą się w 5 numerze tegorocznego Przeglądu. Pielgrzymka ks. Hołowińskiego, w niektórych miejscach pięknie opisana, w innych przepełniona cytacijami z hermeneutyki, tu i ówdzie nie jednego zajmie czytelnika; — niemilosiernie przytém jest obszérna bo aż przez 5 tomów się ciągnie. A że jeszcze to dzieło nieskończone, przeto i sąd o niém ostateczny, do dalszego zawieszamy czasu. O drobniejszych rysach przejażdżek po kraju, jak Pani K. Paszk. — Mazura z Płockiego i t. p. już dla tego samego, że krajowych, przemilczéć nie możemy, a lubo niektóre z nich we własném piśmie naszém umieszczone były, mimo to wszakże bezstronne zdanie nasze powiémy przy końcu artykułu obecnego.— W drugim *osobnym* artykule powiémy o Kraszewskim, Balińskim, Pani Ł. z G. R.; Kosińskim, Przezdzieckim i t. d.

Zastanówmy się teraz nieco obszerniéj nad podróżą do Prus, Saksonii i Czech przez Dra Mószyńskiego, która lubo jeszcze w r. 1838 i 1839 odbytą była, świéżo jednak dopiéro wydaną została. Podróżo-pisarz, jest doktorem medycyny, wychowańcem uniwersytetu wileńskiego i człowiekiem szczególniéj miłującym głębsze lub stosowane nauki: widać to z każdego rozdziału, na każdéj niemal karcie. Nazwa książki, każe się spodziéwać rzeczy obcych; tymczasem spotykamy tutaj mnóstwo przedmiotów krajowych *con amore* opisanych. Od tego się zaczyna, na tém kończy się dzieło. A czego treść nie objęła, to umieścił autor w przypiskach, snać, aby rzeczy krajowych nieprofanował obcémi i toku opowiadania nie przerywał. Nie sądźmy jednak, aby już wszystko cokolwiek własna obejmuje zagroda, godném było *szczegółowego* opisu, lub spojrzenia z saméj tylko strony dodatnéj. Wszędzie są ujemniki — i od zapatrywającego się tylko zależy w jaskrawszém lub ciemniejszém świetle, okazać innym widzom przedmiot badany. Nie raz to, na co ciągle patrzymy, nie wydaje się nam tak złém, jak przechodniowi nieoswojonemu z tą rzeczą — i nawzajem, — przelotnie pozierającemu na jakowyś przedmiot, niewie-

dzącemu jego początków ani celów, nie wyda się rzecz sama taką, jaką jest w gruncie. Młodzi ludzie, w podróżach swoich, szczególniéj na to uwagę zwracać winni. Jedno i toż samo, w różnych okolicznościach, miejscach i przy inném *daném*, rozmaitéj bywa wagi i wartości. Szczęśliwy, kto na różne światła i oddalenia, różne a stosowne ma szkła i teleskopy. Przeciwnie dwakroć bardziéj jest ślepym, kto w przelotnym oka rzucie łudzi się *naleciałemi* (*) od słońca kolorami. Wielu to podróżo-pisarzom zarzucić można w większéj lub mniejszéj ilości; — nie jest od tego zupełnie wolnym i P. Mószyński. Z uwagą wszakże całe odczytawszy dzieło, najsumienniéj możnaby zaręczyć, iż podobne usterki, nie są dobrowolnéj chęci wypływem, ale mimowolnie wśliznęły się do poczciwego dzieła p. Mószyńskiego. Jeśli on czasem w zdaniu swém lub przytoczeniu zbłądzi, — błąd ów jest uczyniony albo w dobréj wierze, albo w ostatecznéj konieczności, kiedy inaczéj wyrazić się albo nie mógł, albo nie potrafił. Za to w zdaniach naukowych, widzimy wszędzie sąd zdrowy; zapatrywanie się na wszystko ze stanowiska wyższego, postępowego; nie widzimy nigdzie żadnego fanatyzmu, co *dobre*, godném jest u niego pochwały bezwzględnéj; co *złe*, bezwzględnie u niego jest zganioném.

Całém swojém pismem, autor zbija (nic zgoła o tém *wprost* nie mówiąc) owe dawne i przesądne większéj części ogółu naszego mniemanie, iż lekarz jest materijalistą, człowiekiem bez poezyi, a często i bez religii. Nie zdarzyło nam się czytać dzieła żadnego lekarza (rozumié się oprócz Szyllera), w któremby tyle poetycznych, lub przynajmniéj zlekka poeziją nacechowanych było zwrotów, a niekiedy i obrazów. Niemniéj téż wszędzie widzimy P. Mószyńskiego wielkim religii swoich ojców wyznawcą. Nie minął miasta, gdzieby nabożeństw, świąt i przybytków bożych nie opisał. Wprawdzie nie kładł tego nigdy na piérwszym swego obrazku planie, — bo téż cel podróży był czysto-nauko-

(*) Wiadomo co w mineralogii zowie się kolorami *naleciałemi*.

wy; najwięcéj przeto autor zatrzymywał swoję i czytelników uwagę na formach doktoryzacyj na obszerniejszych planach akademij lub instytucyj naukowych, fabrycznych i t. p. na osobliwościach gabinetowych, albo nareście na pamiątkach dziejowych.— Nie mógł tego wprawdzie, tak rozciągle i szczegółowo, jakbyśmy sobie życzyli, dokonać, gdyż szczupłe ramy, w jakich te krajobrazy zawarł, stały mu na zawadzie, — wszakże, jak na doktora w widokach tylko nauki lekarskiéj jeżdżącego, aż nadto dobrze nas zaznajomił z wielu przedmiotami. Lepsza bowiem i większa część jego podróży, zwrócona do zbawienniejszych, gdyż nietylko uczących lecz i pomocnych zdrowiu postrzeżeń, w osobném zapewne lekarskiém piśmie ukaże się światu uczonemu. To zaś, co mamy pod ręką, jest tylko dopełnieniem tamtego, a jako rzecz dodatkowa, nie może być ani tak ostro, ani z takiém wymaganiem sądzoną, jak podróż człowieka w tym tylko celu opuszczającego zakątek ojczysty, aby dla rozrywki się przejechać i usiadłszy potém w domu na wygodném krześle, ze swobodną, niczém ważném, do życia koniecznem niekłopotaną myślą, — wystąpić z książką ułożoną a niekiedy żywcem wypisaną z kilku dzieł innych pod ręką rozłożonych. Mamy téż i w naszéj tegoroczném literaturze dwa dzieła podróżo-pisarskie, takim plagiatorskim sklejone sposobem. Zdaje się, iż nic pod słońcem łatwiejszego, jak podobną *zrobić* książkę. Dość tylko choć trochę miéć talentu *plagiatora*. Do podobnéj *roboty* (wszak nie możemy tu powiedziéć *tworzenia?)* kompilatorskiéj, nie mamy nawet stosownego wyrażenia technicznego w naszym zkąd-inąd tak bogatym języku. I piśmiennictwo nasze, podobnych dzieł niepotrzebuje. Zaraza taka, ze wszech względów szkodliwa, w obecnym dopiéro czasie rozkrzewiać się poczyna. A jak opinija powszechna i organa jéj, lub pisma czasowe, powinny karcić wszelkie wsteczne dążenia, najdrobniejsze nawet odblyski złych myśli, tak i w tym względzie, jako w pokryjomém braniu rzeczy cudzych i czelném ich wystawianiu na widok publiczny, przynajmniéj wszyscy literaci nie powinni zdania bezstronnego zamilczéć. Albowiem

„prawdziwość opinii publicznéj, zasadza się nie na tém, aby w niéj zgodzili się wszyscy, ale na tém, aby się zgadzali ci, którzy rzecz najlepiéj znają i rozumieją, jako też ci, którzy wydają sąd bezstronny. Zbałamucenie na czas jakiś (zwykle krótki) opinii publicznéj, zależy najczęściéj na tém, że ludzie znający bliżéj okoliczności i ludzie cnotliwsi, nie objawiają swego zdania wtedy, kiedy to uczynić powinni." — To przytoczenie pełne najrzeczywistszéj prawdy, w niektórych względach, da się zastosować nietylko do dwóch plagiatorów naszych, podróżujących na półwyspy, ale w niejakiejś cząsteczce i do P. Mószyńskiego, który jako człowiek cnotliwy, albo swe zdanie w niejednném miejscu wprost z serca wyrwać był powinien, albo całkowicie lepiéj o przedmiocie przemilczéć.

Chociaż autor, zaraz na początku dzieła (karta 5) powiada, iż opuszczać będzie rzeczy *czysto-naukowo-lekarskie*, jednakże w wielu miejscach zdradza się mimowolnie i nie może się oprzéć miłości powołania swego. Czy to opisuje Karlsbad, Eger, Marienbad, Teplic i t. d. czy nasz Busk, Druskienniki lub Maluny, Widze, Pozwole, wszędzie widać, że to nie profan, ale człowiek znający się na własnościach wód mineralnych, występujący zaraz ze znawczémi o nich zdaniami i radami dla chorych. W trzech początkowych rozdziałach i w połowie czwartego, równie jak i w 3ch ostatnich (Tomu II), autor opisuje tylko miasta polskie. W rozdziale X tomu drugiego, pośród opisów Pilnic i Bastei, autor przenosi się do okolic Wilna. Rzut oka na zamek *Zonnensztein* i jemu przyległe ogrody, widok stromych skał po obu brzegach rzeki sterczących, pokrytych tu i owdzie jodłą lub innémi krzewami zaprowadziły myśl autora z obczyzny do krain sercu najmilszych bo ojczystych. — „Niektóre z nich" — mówi p. Mószyński — „mając podobieństwo do gór naszego Zakretu (*) niepostrzeżenie

(*) Na małéj dolinie, lasem otoczonéj, piękna Wilija, załamuje się prawie pod kątem prostym; od tego zagięcia otrzymał imie *Zakręt*, czyli *Zakret*. Niedaleko ztąd, w roskosznéj dolinie, stoi ogromny opustoszały

przenosiły mię w tę najpiękniejszą okolicę Wilna, stawiły przed oczy każdą jéj dróżkę, każdy domek śród zarośli rzucony, opowiadałem moim towarzyszom ilem czuł roskoszy z odkrycia tego porównania, zdawali się podzielać uczucie moje, lecz ni z opisu, ni z rysunku okolic naszych nie znali." — To przypomnienie dało powód autorowi do opisu okolic Wilna. Z prawdziwą roskoszą przebiegliśmy kilkanaście stronnic malujących prostémi kolorami poetyczną prostotę pisarza i poetyczniejsze nad wszystko widoki. Przykro nam było potém wrócić się do Bastei. Lecz może to zadziwi nie jednego, iż przykrzéj nam jeszcze było czytać nagrobki w szkicach Białegostoku. Przeciwnie, za samą historiję miasta, równie jak i opisy miejsc polskich: Knyszyna, Grodna, Czechowizny, a szczególniéj Ciechanowca, składamy podziękę autorowi. Szczegóły podane w przebieżeniu Warszawy, Wieliczki, Krakowa, Poznania i t d. nietylko, że są już nam skąd-inąd niejednokrotnie znane, ale nawet nie wielu zaspokajające. Umiémy jednak znaleść się w położeniu autora, który pisząc to w Wilnie, chciał czytelnikom dać choć słaby obraz miejsc własnych, przy których

---

budynek, jakby jaki pałac zaczarowany; tuż błękitna wstęga rzeki, daléj bór wiecznie zielony, przed którym się rozściela płaszczyzna i murawa, a za Wiliją pochyła góra krzakami porosła, między któremi tu i owdzie błyszczą domki. Do tego miejsca zwykle spieszy lud z muzyką na tańce i zabawy. Prześliczny! malowniczy to wprawdzie obraz! Ale mybyśmy sądzili, że okolice Bastei, mogą raczéj przywołać pamięci rodaka *Werki*, niźli *Zakret*. Ta spadzista góra ogromnémi ocieniona drzewy; te brzegi Wilii umajone gdzie niegdzie krzewami, ten bieg rzeki, która przed okiem widza przepływa w kształcie węża przez długi przestwór; z jednéj strony Wilii widok Trynopolu z klasztorem, z drugiéj strony, nieco w oddali za polem i małym laskiem sosnowym widok dwupiętrowéj góry, na któréj niższym planie rozlega się *Tivoli*, na wyższym sterczy przepyszny kościół Ś. Piotra z klasztorem, na małą skałę rzymskiego zbudowany, — czyż-to nie jest druga *Pieskowa-Skała*, druga *Szwajcarija Saska!* Ale cóż z tego, kiedy to własne! Gdyby to było za granicą!...

tak postawić umiał obce, iż jedne drugich nie zaciemniały, ani téż nie olśniły. To nie tylko daje w czytaniu miłą rozmaitość, ale razem utrzymuje w pewnych karbach, nieumiejących cenić tego co posiadają. We wszystkich obcych miastach, jak w Berlinie, Droznie, Halli, Frejburgu i t. p. zajmują szczególniéj uwagę podróżnika, oprócz ogólnych rysów fizyognomii miasta, — uniwersyteta, kliniki, ogrody botaniczne, akademije sztuk pięknych, szpitale, muzea, warzelnie soli, Homeopatija, Stereotypy, domy przedpogrobowe, domy wychowania sierot, skarbce, pomniki, kopalnie i topielnie srebra, biblioteki, uczeni, a niepospolite nawet miejsce zajmują i kościoły. Wpośród zdrowych zdań, cechujących uczonego człowieka, spotka się jednak czasem fałszywy punkt zapatrywania się, jak np. w osądzeniu pewnych Czechów i niepoznaniu się na różnicy między *Panslawistami* i *Słowianofilami*. — Szkoda, że autor opisując obrządki doktoryzacyi w Krakowie, Pradze Czeskiéj i Berlinie, nie wspomniał nic, choćby dla samego porównania, o zwyczajach przy doktoryzacyi w Wilnie. Zbyt mało ceni p. Mószyński tytuł doktora berlińskiego, dla łatwości, z jaką się ten stopień otrzymuje. „Po wysłuchaniu wszystkich kursów w tym lub owym uniwersytecie" — powiada podróżo-pisarz, który po otrzymaniu stopnia naukowego w kraju, doskonalił się jeszcze długo w Berlinie, a więc w tym względzie może być sędzią bezstronnym — „stara się uczeń o stopień. Ten jest tylko jeden doktora, na wszystkich wydziałach. Podawszy żądanie swoje na piśmie do rządu uniwersytetu, jeśli żadna nie zajdzie przeszkoda, otrzymuje pozwolenie pisania rozprawy w materii jaka mu się podoba; napisaną (przez kogo-bądź) w języku łacińskim, oddaje pod sąd professorów, przyczém składa półtora imperijała. Ci przeczytawszy ją, jeśli uznają autora godnym stopnia, wzywają do egzaminu ustnego, który się ogranicza do przekonania się, sam li pisał rozprawę? Gdy się temu stanie zadosyć, drukuje ją i broni publicznie. Taka jest kolej otrzymania stopnia na oddziałach teologicznym, filozoficznym i prawnym, cokolwiek trudniéj na oddziale medycznym (gdyż trzeba pisać rozprawę w obec

dziekana i złożyć świadectwa z kursów odbytych. Za pozwolenie examinu *formalnego*, płaci się $13\frac{3}{4}$ półimperijałow. Examinuje nie każdy professor ze swego przedmiotu, lecz siedmiu ich pod naczelnictwem dziekana, przy winie i zakąsce, examinuje za zwyczaj po kilku razem uczniów, przez godzin kilka, poczém uczniowie ustępują do drugiego pokoju, a professorowie naradzają się komu się stopień należy, a komu nie, i przywołanym ogłaszają. Rzadkie zdarzenie (prawie nie praktykowane), aby który nie otrzymał stopnia, gdyż w kilka miesięcy wolno mu się poprawić, wszystko zaczynając i płacąc na nowo, a pieniądze piérwéj opłacone giną. Którym przyznany stopień, pozwala się drukować i bronić rozprawy, ale nie piérwéj aż opłacą drugie $6\frac{3}{4}$ imperijałów, co wszystko idzie na korzyść dziekana i professorów examinujących. Obrona rozprawy odbywa się publicznie, ale ta publiczność zaledwie z kilku składa się osób: — dziekan i kilku uczniów — oto cała publiczność. Zbyt łatwe i prawie codzień zdarzające się doktoryzacije, bez okazałych nawet obrzędów powierzchownych tak się spospolitowały, że nawet najmniejszéj nie wzbudzają ciekawości; współkoledzy doktoryzującego się, chodzą częstokroć podczas gdy on broni rozprawy, po korytarzu i rozmawiają z flegmą o handlu, albo o wczorajszych pojedynkach. Mający bronić rozprawy mianowany doktor, prosi o oppozyciją kilku swoich kolegów, zazwyczaj trzech, a że się jéj chętnie nie podejmują, otrzymawszy zatém przyrzeczenie, drukuje ich imiona, nazwiska i stopień naukowy na piérwszéj karcie rozprawy z napisem *Opponentes* Rozpoczyna akt, nowy doktor przemową do dziekana i opponentów, po niéj idą oppozycije i odpowiedzi na nie. Dziekan tymczasem albo czyta sobie gazety, — albo rysuje ołówkiem po stole. Po skończonych oppozycijach, doktoryzujący się przemawia znowu, dziękując kollegom za oppozycije, dziekanowi za obecność. Następnie dziekan przyznaje i ogłasza stopień doktora. Cały obrzęd odbywa się w języku łacińskim, lecz ta łacina nie nosi na sobie najmniejszego piętna klassycyzmu; jest to język bez myśli, którego ani sam mówiący, ani słuchacze nie ro-

zumieją. Czasami aby uniknąć takich bredni, opponent i doktoryzujący się, czytają z ukrytych karteczek, jeden pytanie, drugi odpowiedzi, napisane przez kogo innego, ale i tu zawodzi niekiedy ślepa fortuna. Było zdarzenie w Berlinie, iż doktoryzujący się przyszedł w kolorowym fraku, opponenci przekonali go o niedorzeczności podobnego ubrania na taką uroczystość; zamienił go więc na czarny, z jednym ze swoich opponentów w przyległéj sali, a z frakiem razem zamienił i karteczkę, z któréj miał czytać odpowiedź. Po zwykłym wstępie, opponent bez uwagi czyta w głos odpowiedź, a doktor pytanie. Smiech dziekana wyprowadził ich z błędu, przemienili karteczki i doktoryzacija poszła szczęśliwie."

Po bezstronnych, z całą surowością i sprawiedliwością, wysłuchiwanych examinach w akademii wileńskiéj — i po przyzwyczajeniu się do prawa, przyjętego tam za pospolity zwyczaj, iż tylko celującym słuchaczom, dawano stopień doktora, — dziwném zaiste musiało wydawać się podróżnikowi naszemu, owe bez braku sypanie laureatów na rozliczne głowy. Téj-to trudności w dawaniu stopni, téj rzetelnéj bezinteressowności professorów, ich wyborowi pod względem umysłowym i bezwzględnemu poświęceniu się z jakiém wykładali swe przedmioty, — winna była akademija wileńska ową sławę, jaką się przez długi czas, aż do samego prawie końca, cieszyła. Szczególniéj na oddziale lekarskim, bardzo rzadko kto opuścił uczelnię, bez należytego usposobienia (*). Ale pod tym względem oddaćby wypadało należną słuszność i obcym uniwersytetom, że stopnia naukowego danego swoim b. lekko nie ważą; chcący zaś otrzymać pozwolenie praktyki, muszą zupełnie na nowo examen rigorosum wytrzymać.—

(*) Jeden z bardzo pilnych uczniów, F** który kilkanaście lat chodząc na wydział lekarski i klinikę, nie mógł mimo tego otrzymać stopnia naukowego, bo usilność nic tam nie pomoże, gdzie śpią władze umysłu, — błagał jak najusilniéj aby mu dano patent, z zaręczeniem, iż *praktykować* nie będzie (gdyż był człowiekiem bogatym). Głos więc powszechny się odzywał, iż dla niego stworzono umyślnie nazwę stopnia *Amator medicinae*.

W zawodzie przeto, gdzie o życie ludzkie chodzi, mierności rzadko kiedy górę wziąść dozwolą. Dla zagranicznych jednak osób, z łatwością większą udzielają stopni. Za to u nas w kraju wszystkie obce tytuły uczone, zwłaszcza w medycynie, póty nie mają wartości i zastosowania w praktyce, dopóki się nie zda examinu administracyjnego.

W ogóle zastanawiając się nad pracą p. Mószyńskiego, przyznaćby wypadało, iż jako wychowaniec szkoły wileńskiéj, dalekoby lepiéj od tego, które wydał teraz, wypracował dzieło wprost naukowe.

H. Sk.

8 mar. 1845.

COPERNICUS AND HIS NATIVE LAND

i wszystkie inne wiadomości o KOPERNIKU w ostatnich 3 latach.

Gdy w roku 1842 umieszczono w Panteonie bawarskim, nazwanym Wałhallą, pomnik Kopernika Polaka, a w spisie sławnych Niemców (wydanym 15 Lipca) położono ziomka naszego między sławnymi Niemcami, — najpiérwszém z pism polskich był *Przegląd naukowy*, który w obszernym artykule najwyraźniéj powstał przeciw temu wybrykowi poetycznemu (we wrześniu tegoż roku N. 27, T. III, str. 1078 i następne). Inne zaś pisma poważne milczały. W pół roku dopiéro wspomniał o Koperniku w Kurijerku Warszawskim zmarły niedawno J. L. Rychter, a po nim profes. emer. Adrjan Krzyżanowski w osobnym półarkuszowym odbitku dołączonym także do Kurijera Warsz. przemówił za narodowością Kopernika. Drugi raz odezwał się *Przegląd naukowy* (*), w artykule p. t. *Mikołaj Kopernik Polak* napisanym przez H. Skimborowicza, gdzie były wytknięte niektóre omyłki w obronach Rychtera i Krzyżanowskiego popełnione. Wieńcem jednak tych wszystkich odezw, uplecionym z najtroskliwszych badań dziejowych, była rozprawa Dominika Szulca, prof. czł. tow. nauk. z un. Jag. p. *O Tarnowie mazowieckiém* (Thorn) *do Kopernika*, umie-

(*) Patrz Przeg. nauk. T. II, z r. 1843 str. 37.

szczona w *Pamiętniku moralno-religijnym* i osobno odbita w Warszawie 1843 r. str. 40 w ósemce. W tym prawdziwym pomniku historycznym pisanym w Kwietniu 1843 autor dowiódł, że Toruń podług przywileju znalezionego w archiwum główném z 1222 r. jest Tarnowem, że to miasto istniało już w r. 1192, że darowaném zostało przez Biskupa Płockiego Krystynowi Rawa, piérwszemu pasterzowi nowo-nawracających się Prusaków, że należąc od niepamiętnych czasów z ziemią chełmińską, na któréj zbudowane było, do królów Polskich i książąt mazowieckich, nie straciło rodowości swojéj przez ustąpienie go zakonowi Krzyżaków, ponieważ ci w darze i tylko pod warunkiem wierności koronie stali się jego panami. W późniejszym artykule *o Prussach*, tenże uczony badacz, uzupełniając wiadomość o Tarnowie z przywiléjów miasta ogłoszonych przez Wernicke w 1842 r. udowodnił, że jądrem Torunia byli Polacy, składający za rządu krzyżackiego osobną gminę; że do składu magistratu należeli Polacy, urodzeni w Tarnowie, a za Kopernika, ciż mieli cztéry kościoły, w których kazania mówiono po polsku, że nakoniec Mikołaj Kopernik, wychowany przez ojca do lat kilkunastu w oddzielnéj gminie polskiéj, nie udał się przykładem osadników niemieckich do uniwersytetów germańskich, ale pospieszył do „studnicy wszelkich zdrowych nauk, założonéj w Krakowie dla szukających orzezwienia ziomków." — W tém piśmie starał się D. Szulc okazać stronny widok Voigt'a wyszukującego tu Gotów i Litwinów, jako piérwiastkowych posiadaczy ziemi. W końcu, ze względu na to, że uczeni zagraniczni mienią Tarnowo późniejszém od starego Torunia, a zatém założoném przez Niemców; z najdawniejszego przywileju archiwum koronnego (1222 r.) pokazał, że Thorn było *Turznem* przed przyjściem Krzyżaków. Z czego bardzo łatwy wniosek dla każdego zostawił o prawdziwéj rodowości Kopernika. Uczynił zaś to dla tego, że sami Niemcy zezwalają na przybycie ojca astronoma z Krakowa (*), (czego tak usilnie starał się

(*) Patrz Dzieje Torunia przez Wernicke T. II. 1842.

dowieść prof. Adr. Krzyżanowski), ale syna zrodzonego w Toruniu, uważają za swego ziomka. W części pisma *o Prussach* dotąd ogłoszonéj, nie przestając na powyższym dowodzie z przywilejów przez Voigt'a przytoczonych w historii Pruskiéj, okazał, że nie tylko Ziemia Chełmińska z Tarnowem, ale i cała przestrzeń rozciągająca się między ramionami Wisły a Preglem; albo raczéj *Lipcem*, zajęta była odwiecznie przez lud polski w bałwochwalstwie zostający, o którego nawrócenie tak się troszczył Bolesław Chrobry za pośrednictwem ŚŚ. Wojciecha i Brunona, — że sama nawet nazwa *Prusów* (Prusaków), odwiecznie jest *polska*, dla różnicy prowincyi, jak *Mazowszu* i *Podlasiu* nadana. Z czego drugi wypada wniosek, że jak Mazowszanin jest Polakiem, tak i Prussak z czasów *przedkrzyżackich* był nim podobnież. W roku przeszłym wydając Adrijan Krzyżanowski **Dawną Polskę** umieścił po 565 str. **Dopełnienia.** W tych przypiskach położył autor przedruk artykułu swego, umieszczonego wprzódy w Nowym Kalendarzu Powszechnym Kajetana Niezabitowskiego, p. t. **Mikołaja Kopernika założyciela dzisiejszéj astronomii,** w 300 lat od jego skonu i objawienia jego układu **spomnienie Jubileuszowe.** W Warszawie w drukarni J. Unger, 1844, stron. 32 i **Dodatek do pisma jubileuszowego o Koperniku,** na 2 stronach kartki od str. 33 — 34 (*).

O *Rozmaitościach Lwowskich* z 16 Maja 1843 r. N. 18, jakoteż o wyszukaniu przez Hier. Łabęckiego, książki p. t. **Regestrum Scabinorum Supae &c.** raz, jako o rzeczach drobniejszych, drugi raz jako o szczegółach już cytowanych przez Adr. Krzyżanowskiego, (str. 10 i 33) przemilczamy.

Wspomnieć nareszcze wypada o książeczce, którąśmy właśnie teraz odebrali pod tytułem: **Copernicus and his native Land,** 1844. London str. 34 in 8vo (Kopernik i ojczysty kraj jego pr. K. L. S. b. profes. fil.). Silnie w téj broszurce dowodzi autor narodowości polskiéj Kopernika, i powtarza z rozprawy prof. Adr. Krzyżanowskiego, którego pismo bardziéj upowszechniano niż D. Szul-

(*) *Dodatku* nie było w Kalendarzu 1844 r.

ca (*), że Włoscy pisarze owcześni, przed traktatem Toruńskim, 1466 r. nazywają **Citta di Masovia** miasto Toruń. Między innemi mówi K. L. S.: „The manuscript of Copernicus's work **De revolutionibus orbium cœlestium**, has recently been discovered by Count Skorzewski on his tour through Bohemia, at Count Nostiz's library, und purchased by him for his **rich archives of historical Records** at Czerniejew." Dr. Worthington napisał do autora umieszczone na końcu Impromptu, z którego dwa wiersze kładziemy tutaj:

Thus polish glory blends with God's own might,
And lives in regions of eternal light.

(Tak chwała Polaków wiążąc się z potęgą samego Boga,
Żyje w krainach światła wiecznego).

Z téjże broszurki czerpiemy wiadomość, iż J. C. wyda wkrótce Życiopis Kopernika z wyliczeniem bibliograficzném i dodatkiem niektórych szczegółów jeszcze nieogłoszonych, jakie znalazł autor w bibliotece Mazarinich w Paryżu. Dołączoném ma być do tego wyobrażenie oblicza Kopernika, gwiazdarni w Frauenburgu i narzędzi, używanych do postrzeżeń przez sławnego astronoma polskiego.

Sk.

(*) Nie jest pocieszającém dla umysłów pragnących postępu i rozprzestrzeniania się wiadomości gruntownych w dziedzinie historyi polskiéj, iż bez czczéj deklamacyi rzecz napisana, lecz za to wsparta na ścisłym rozbiorze krytycznym, mniéj stała się głośną w pismach czasowych krajowych, a następnie i zagranicznych, niźli dowody, że w nazwisku Kopernika nié ma żadnéj głoski niemieckiéj! (Przyp. Redakt.)

POCHWAŁA HISTORYCZNA

Dżems Uatt'a (James Watt).

(Ciąg dalszy.)

II.

Dżems Uatt urodził się w Grinok (Greenock) mieście Szkockiém dnia 19 Stycznia 1736 roku. Początki nauk pobiérał od matki — ojciec zaś uczył pisać i rachunków. Następnie uczęszczał do szkół publicznych w Grinok, ale stan zdrowia wątły, nie dozwalał mu bezprzerwy chodzić do szkół, i dla tego większą część roku zostawał w domu nie tęskniąc bynajmniéj w samotności, a bez pomocy nauczyciela, zajmował się takiemi przedmiotami, które już zapowiadały na przyszłość wielką nadzieję. — Takto ludzie wyżsi, już w dzieciństwie swém, przeznaczeni są do wielkich przedsięwzięć, a zapowiadając promieniejącą przyszłość, zdają się ukrywać zasłonę swych dążności. Ciągle idą za natchnieniem, które kieruje ich uczuciem i prowadzi drogą ciągłego postępu.

Dżems Uatt od dzieciństwa poświęcał się wyłącznie z namysłu mechanice. Pewnego razu, kiedy przyjaciel jego ojca przyszedłszy postrzegł małego Dżemsa leżącego na łóżku i kreślące-

go figury z prostych linij — „proszę cię — zapytał przyjaciel — dla czego pozwalasz malcowi próżnować?” — „Za pozwoleniem — odpowiedział stary Uatt— „nim przystąpisz do obwinienia mię piérwéj przypatrz się czém się mój syn trudni.” — I cóż-to było? oto sześcioletni malec, zajmował się rozwiązaniem zadania jeometrycznego.

Ojciec Dżemsa nic nie szczędził, coby mogło wzbogacić jego umysł. Dostarczone sobie przez ojca rozmaite narzędzia mechaniczne, wprawiał się z największą łatwością rozbiérać i składać, szczególniéj z zabawek dziecinnych, tworzył coraz nowe. Zbudował nawet machinkę elektryczną, z któréj wydobywając iskry, bawił swych kollegów szkolnych.

W dziecinnym wieku, umysł jego nadzwyczajnie się szybko rozwijał, lubo niczego nieuczył się na-pamięć. Wynalazki swe dziecinne ciągle poprawiał i doskonalił, na co wiele czasu poświęcał. Ojciec jego widział istotną przyczynę małego postępu w naukach, ale nie chciał przeszkadzać jego dążnościom, chociaż reszta familii nie podzielała zdania ojcowskiego.

„W życiu mojém — mówiła do Dżemsa pani Muirhead, ciotka — „nigdym nie widziała większego próżniaka nad ciebie. Pro„szę cię weź książkę do ręki i zajmij się nią szczérze, z zastano„wieniem. Upłynęła godzina, a ty ani słowa nie przeczytałeś. — „I cóż zrobiłeś przez ten czas?... nakrywasz i odkrywasz imbryk. „Podstawiasz pod parę to łyżeczkę, to podstawek i zdaje się, że „cała twa umiejętność, zużywa się tylko nad drobnostką, ażeby „zbiérać krople wody tworzące się z ochłodzenia i zgęszczenia „pary. Pytam się ciebie, czyż to cię nie wstydzi, że na takie fra„szki czas marnujesz?” — Gdybyśmy żyli w roku 1750 i zostawali w położeniu jego ciotki p. Muirhead, nie ulega wątpliwości, że powiedzielibyśmy to samo; teraz zaś kiedy wiémy, iż najgłówniejsza przyczyna zależała na tém, aby zamieniać parę na wodę, nagana ciotki pokazuje się dziś zupełnie w innėm świetle. Dżems stojący przy imbryku, przedstawia się wielkim mechanikiem, wróżącym wielkie odkrycie, które go czyniło nieśmiertelnym. My-

słałaż ciotka, ażeby w słowach jéj „zgęszczanie pary” zamykał się program życia i sławy znakomitego jéj siostrzeńca?... Tu mimowolnie przypominają się słowa Niutona, kiedy zapytano go jak doszedł do odkryć praw ciężkości?— „Ciągle o tém myśląc” odpowiedział.

Dżems dzieckiem jeszcze będąc, szczególnym odznaczał się darem w opowiadaniu powiastek. Odjeżdżając matka jego do Glasgowa, poruczyła nad nim opiekę swéj przyjaciółce, a zabawiwszy kilka tygodni w podróży, nie spodziéwała się by po powrocie, usłyszała to co ją spotkało na wstępie. „Moja kochana — są słowa przyjaciółki— nie trać najmniéj czasu i oddaj swego „syna do szkół w Grinok, nie mogę znieść więcéj jego powiastek „i bajek, bo zmęczył mię niemi, nie dając spać. Wystaw sobie, „prawie każdego wieczora, kiedy moje dzieci idą do spoczynku, „syn twój wynajduje jakikolwiek spór, z tego następnie treść do „powieści jednéj — drugiéj i trzeciéj. Powieści te, to smutne — „to śmieszne, a do tego tak zajmujące, że wszyscy słuchają z nad„zwyczajném zajęciem i uwagą, przy największéj ciszy i bez naj„mniejszego poruszenia. Godziny więc po godzinach płyną — noc „mija — spać wcale nie idziemy, przez co osłabłam do nieuwie„rzenia z niewywczasu.”

Dżems Uatta w młodości zajmowało wszystko, co tylko podpadało pod jego zmysły. Kwitnące brzegi Loch-Lomondy natchnęły go myślą uczenia się botaniki. — Szkockie góry zwróciły jego uwagę na geognoziją (ziemioznawstwo). Nakoniec stan zdrowia wątły, stał się przyczyną, że uczył się zasad medycyny. Jednakże wszystkiemi temi przedmiotami zajmował się tylko ubocznie. — Stanowcza dążność umysłowa jego, zaczęła się w rok 1755. Po przybyciu do Londynu, wszedł na naukę do John Morgan zręcznego mechanika narzędzi matematycznych i morskich. Poświęcał się u niego rok jeden nauce, a potém powrócił do Glasgowa gdzie oczekiwały go troski i nieprzyjemności. Fabrykanci i rzemieślnicy glasgowscy, opiérając się na dawnych swych przywilejach i patrząc z nienawiścią na młodego mechanika, jako obcego

przychodnia, nie dozwalali założyć mu. chociażby najmniejszéj fabryki. Rozmaite sposoby były używane, by pojednać ich z Uatt'em, ale wszystko było naprożno. Nareszcie udzielił mu swéj pomocy uniwersytet glasgowski i dał w swym gmachu mały pokoik, dla otworzenia w nim sklepu wyrobów mechanicznych, a nadto uczcił go tytułem mechanika uniwersyteckiego. Dotąd są jeszcze narzędzia w gabinecie uniwersytetu glasgowskiego, przedziwnéj roboty, własną ręką Uatt'a zrobione.

W roku 27 życia został członkiem uniwersytetu glasgowskiego. Wspiérali go swém znaczeniem: Adam Smith, autor znakomitego dzieła: „O bogactwie narodowém:” Blak, którego odkrycia co do cieplika utajonego i kwasu węglowego, zaliczyły go w poczet znakomitych fizyków i chemików XVIII stulecia, Robert Simson sławny zbiorem ważnych dzieł geometrów starożytnych. Wszyscy ci znakomici uczeni, s początku zamierzali zrobić tylko przysługę w niesieniu pomocy na korzyść materijalną dla młodego i początkującego mechanika, ale kiedy poznali w nim człowieka, przeznaczonego do działania w zakresie rozleglejszych i użyteczniejszych pojęć, przyjęli go do grona swych przyjaciół i spółpracujących. Studenci uniwersytetu, poczytywali za wielkie szczęście i dobrodziejstwo dla siebie być w towarzystwie z Uatt'em. Działo się to jeszcze w szczęśliwych czasach, kiedy studenci więcéj dbali o wzbogacenie się umysłowe, jak nabycie patentu. Następnie dom Uatt'a zamienił się w istotną akademiję glasgowskich znamienitych uczonych. Zbiegano się tam rosprawiać o najważniejszych zdaniach we wszystkich odcieniach nauki — sztuk pięknych i literatury. Niepodobna uwierzyć, co mówię, przypuścić, by młodzieniec liczący zaledwie lat 22, był główną osobą w posiedzeniach naukowych. Ale na dowód, przytoczymy tu słowa jednego z odwiedzających ciągle uczonego mechanika i przyjaciela jego: „Lubo byłem jeszcze — są słowa Robinsona — „wtenczas studentem, mniemałem wszakże, jak wielu studentów „mniema, że byłem nadzwyczajnym genijuszem i mędrcem nie„potrzebującym wcale się już uczyć. Głównemi memi przedmio-

„tami była fizyka i mechanika, i w tych przedmiotach uważałem „siebie mędrszym nad wszystkich. Pewnego razu przychodzę do „Uatt'a i tu dopiéro zostałem w mém uprzedzeniu pobity na gło- „wę, znajdując bez porównania wyższym w naukach młodego „mechanika. Jeśli się zdarzyło w naszych ćwiczeniach uniwersy- „teckich, napotkać jaką trudność: natychmiast biegliśmy do Uatt'a „po rozwiązanie; to zaś, co bądź usłyszał, stało się dla niego czę- „stokroć przedmiotem do nowych odkryć. Żadnego pytania nie „pominął, nie zbadawszy go piérwéj gruntownie, nie wchodząc „bynajmniéj, czy osiągnie cel pożądany, lub nie. Chcąc poznać „dzieło o machinach Leupold'a, uczył się języka niemieckiego i „w krótkim przeciągu czasu, pojął go dokładnie. Toż samo było „i z nauczeniem się włoskiego języka. Otwartość młodego me- „chanika, zjednała dla niego serdeczną przyjaźń u wszystkich.— „Długo żyłem w świecie z ludźmi różnego stanu i powołania, ale „wyznam szczérze, iż nie znałem człowieka, od któregoby do- „świadczali wszyscy tyle szczeréj i prawdziwéj przyjaźni, jak od „niego, za co go szanowano. Cieszył się, kiedy pomysł jego przy- „pisywany był któremu z jego przyjaciół, nastręczał mu dobry „byt i zapewnił sławę na przyszłość — co jest bardzo a bardzo „rzadkim przymiotem wielu uczonych. Tém śmieléj głoszę o je- „go szlachetnych przymiotach duszy, gdyż sam doświadczyłem „od niego wielu dobrodziejstw."

Nie wchodząc w różnorodną pracę Uatt'a, zawsze on był czynnym do niezmordowania. W dzień zajmował się czynnościami do jego powołania przywiązanemi; noc zaś poświęcał na zgłębianiu teoryi. Pokładając zupełne zaufanie w wynalazkach pomysłu własnego, znajdował przyjemność w najtrudniejszych przedsięwzięciach, do których na pozór najmniéj był usposobionym. Czy uwierzy kto, ażeby człowiek zgoła nieposiadający muzyki i z trudnością, co mówię, wcale nie pojmując nut, postanowił zrobić organy? Co téż właśnie wykonał Uatt. Ale to nie koniec na tém: poczynił jeszcze do tego bardzo ważne ulepszenia w częściach mechanizmu, regulatorach i sposobie ocenienia siły wia-

tru. Nadewszystko sama harmonija, dźwięk tonów, tak były przyjemne i miłe, iż najlepsi znawcy muzyczni i lubownicy, podziwiali nowy instrument (*).

Postępując za życiem Uatt'a, szczególniéj od epoki, w któréj rospoczął ulepszanie paromachin, przez co nadał im ruch pewny i trwały, mimowolnie oddalimy się od głównego celu, zwracając uwagę na historiję paromachin, bo bez niéj nie pojęlibyśmy zasług znakomitego mechanika. Dzieje podobnego rodzaju wynalazków, zwracały uwagę myślących. Wiele pisano o stopniowym postępie i ulepszeniu paromachin. Historija wszakże w naszym zakresie stanowić będzie w tém piśmie przedmiot drugiego rzędu i zajmie miejsce o tyle, o ile potrzeba do okazania wartości ulepszeń poczynionych przez Uatt'a. Wszelako potrzeba tu najprzód zbadać wodę w różnym jéj stanie, by przekonać się jakim sposobem przyszliśmy do kierowania tym żywiołem, za pomocą którego panujemy nad wszystkiém — a nawet nad wzburzonemi falami rozległych wód Oceanu.

Pominiemy tu z jakich piérwiastków składa się woda, to wyłącznie należy do chemii. Będziemy ją tylko uważali pod bezpośrednim wpływem temperatury. Przez zmianę temperatury, woda może się objawiać w trzech szczególnych stanach, to jest: w stanie stałym czyli lodzie — w stanie płynnym i nakoniec w postaci lotnéj czyli pary. Niżéj *zera* woda marznie — między zerem a 60° R. zostaje w stanie ciekłym — wyżéj nad 60° zamienia się w parę. Szczegóły zjawisk w trakcie przejścia z jednego stanu do drugiego, prowadzą do odkryć, które dają klucz do ocenienia siły i ruchu paromachin.

Nie można utrzymywać, ażeby woda zawsze była cieplejszą od lodu, bo może być w temperaturze zero, a nawet niżéj zera,

---

(*) Eloge historique de J. W. par Arago.

niezamarzniętą. Podobnież i lód, może być lodem przy zerze, wcale nie topniejąc. Stąd nie powinniśmy wnosić, że woda i lód na zero, zawiérają w sobie jednę temperaturę. Woda i lód w temperaturze zero, zawierają w sobie jeszcze nierówną ilość cieplika utajonego, bez którego nie mogłyby zostawać w stanie odmiennym; bo albo woda zamieniłaby się w lód, albo lód na wodę. Następne doświadczenie, może to okazać jasno.

Weźmy szklankę wody w temperaturze 45° R. i zmieszajmy ją z drugą szklanką wody na zero — temperatura zmieszanéj wody, zawiérać będzie $22\frac{1}{2}$°. Naturalnie woda ciepła połączyła się z zimną i podzieliła się z swym cieplikiem.

Powtórzmy jeszcze to samo doświadczenie, z małą tylko odmianą. Zamiast szklanki wody w temperaturze zero, weźmy taką samą ilość (podług wagi) lodu, podobnież w temperaturze zero, i zmieszajmy go z wodą na 45°. Mięszanina ta wcale nie będzie trzymać $22\frac{1}{2}$°, ale zostanie przy zerze. Gdzież się podziało 45° cieplika? oto pochłonięte zostały przy rostopieniu lodu, nie podnosząc bynajmniéj temperatury jego.

Widocznêm jest, że woda na zero i lód na zero, są zupełnie różne w swym stanie; w wodzie zaś temperatury 45° znajduje się więcéj niż w lodzie utajonego cieplika. A 45° tak zostały pochłonione w spomnionéj mięszaninie, iż niepodobna najczulszym termometrem, odkryć najmniejszych śladów cieplika.

Zastosowane powyższe doświadczenie do wody wrzącéj przy 60° zmieszanéj z parą także przy 60° prowadzi do tych samych wypadków, lecz tylko w rozciąglejszéj objętości. W mgnieniu woda przechodząc ze stanu ciekłego do stanu pary, połyka ogromną ilość cieplika utajonego.

Mówiliśmy o wodzie w stanie płynnym i stanie lodu; teraz powtórzymy to samo doświadczenie, ale drogą odwrotną; a poznamy i odwrotne działanie. Jeśli wodę przy zero w ilości $5\frac{7}{20}$ killograma, zmieszamy z jednym killogramem pary na 100° Cels. para natychmiast zamieni się w wodę, a woda nie będzie już na zero, ale w temperaturze 100°. Pokazuje się stąd, że para zamie-

niając się w płyn, cieplik swój udziela wodzie. Nadto do jednego kilograma pary wchodzi jeszcze cieplik utajony, który może podnieść temperaturę wody $5\frac{7}{20}$ killograma przy zerze do 100⁰ termometru.

Ta więc sama para, nadaje machinom ruch perijodycznie powtarzający się, bo przechodząc ze stanu ciekłego do powietrznego, objętość jéj powiększa się, ochłodzona zaś chwilowo do stanu ciekłego przechodzi i nagle objętość swą zmniejsza tyleż razy. W ciągu tego, ruchy są mocne i szybkie — przynosi nam więc korzyści nieoszacowane.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORRESPONDENCIJA.

Wyjątek z listu ze Lwowa.

. . . . widziałem się z Aleksandrem Fredro, którego obowiązki deputata odjęły literaturze. Od niejakiego czasu poczyna cierpiéć na podagrę, zdaje się jednak, iż lubo ucichł na czas niejaki, nie ucichł jednak na zawsze. — Stary Kamiński jest zawsze ten sam ognisty i wymówny i niesłusznie podobno nazwałem go starym. Wielka szkoda, że ten człowiek nie ma katedry— gdy wpadnie w zapał, przybiéra wymowa jego tyle prawdy, prostoty i obrazów, iż niepodobna, ażeby nie przekonał słuchacza o prawdzie swojego twierdzenia. Myśli idą u niego z natchnienia i filozoficzne jego improwizacije mają w sobie więcéj poezyi, niż wszystkie jego pisane poezije. Cały ten jednak magnetyzm jego ducha stygnie w piórze; lecz gdyby Kamiński miał katedrę, utworzyłby dzielne pokolenie, bo posiada szczególniejszy dar rozwijania pomysłu, a to jest podobno najwyższém zadaniem mistrza.

Teodor Torosiewicz, chemik, ze wszystkich uczonych, którzy w Galicyi pracują w zakresie nauk przyrodzonych, jeden dotąd pisze tylko po polsku. Zebrał on materijały do dzieła, w którém będą opisy i rozbiory wszystkich źródeł mineralnych, jakie się tylko znajdują w prowincyi naszéj.

W. P.

z Wiednia.

☞ „Z pociechą przychodzi mi powiedzieć wam, i to jest najważniejsze o czém mogę wam donieść, iż ani na chwilę niezachwiałem się w mojém widzeniu malarstwa i sztuki, mimo złudliwych i szkodliwych wpływów, któremi otoczony jestem. Winienem to pamięci, jaką chowam po S**, który w malarstwie dotąd jest moją ewangeliją: „Co się uczuło głęboko i skrycie — nie łatwo się utraca, i da Bóg, przejdzie w czyny i życie." — S** swoje wzniosłe pojmowanie sztuki nie akademijom krakowskiéj i rzymskiéj, lecz winien je sobie. Gdy przybył do Rzymu i oddał się wzorom starożytnych mistrzów, a szczególniéj Rafaelowi, pewnego razu, właśnie gdy był zatrudniony rysunkiem *Zdjęcia z Krzyża* według Rafaela, zapukano do jego drzwi — weszła osoba jemu nieznana i rzecze: „Jestem Overbeck, przychodzę podać ci rękę i sprowadzić cię na drogę, po jakiéj idąc, masz dojść do celu." Treścią rozpoczętego stosunku S** do Overbecka, była ta nauka: Nie czerp w Rafaelu, ale w duchu swoim i tam gdzie Rafael czerpał. Cóż są akademije i systematyczne ich urządzenia bez indiwiduów, któreby je ożywiały? Błądzi człowiek po galerijach, jak po opuszczonych zamkach, bo nic nie pośredniczy, bo nie ma ducha, coby teraźniejszość z przeszłością kojarzył. Nie mogę wam skreślić wierniejszego obrazu tutejszéj akademii, jak przytaczając słowa Krafta, dyrektora galeryi w Belwederze, które z ust jego słyszałem:

„Malarstwo jest płodem ręki, jest więc rzemiosłem. Ale ma„larstwo jest zarazem płodem ducha, ma zatém i stronę ducho„wą; gdzie zaś ta duchowa strona obrazu się znajduje, na czém „zawisła, trudno oznaczyć; równie jak trudno jest oznaczyć mo„ment, w którym artysta tworząc obraz, poczyna mu nadawać „piętno duchowe, gdyż od początku aż do końca, malarz idzie „z rozmysłem i sprytem rzemieślnika, a ten co temu nie wierzy „i wziąwszy paletę do ręki, zasiada do dzieła z entuzijazmem, „nic nie zrobi."

Te słowa mają w sobie prawdę, ale nie całą, tylko jéj połowę. Pan Kraft, mówiąc o duchowéj stronie obrazu, nie ma jéj na myśli i uwadze, ale tylko sam mechanizm. — Rafael tak mówił o sobie: „Gdy mam komponować obraz, zakrywam sobie twarz dłońmi i pogrążam się sam w sobie. Naraz staje mi przed oczyma cały obraz, wtedy chwytam za papiér i ołówek, i nakreślam widzenie." — Oto jest duchowa strona obrazu, i oto jest tworzącego artysty owa chwila, którą Kraftowi trudno było oznaczyć. — Daléj powiada on:

„Utrzymują niektórzy, że duchowa strona obrazu, zawisła „w rysunku. Ja temu przeczę: jest bowiem wiele obrazów Ru„bensa, które noszą na sobie piętno gieniuszu, a przecie to pię„tno nie leży tam w rysunku, gdyż te obrazy, gdyby były tylko na„rysowane, byłyby niczém, tak dalece, że litografiją w żaden spo„sób wydaćby ich nie można. Duchowa zatém strona tych obra„zów, leży nie w rysunku, ale w mieszaninie i narzuceniu farb."

Otóż dowód, że Kraft mówiąc o duchowości obrazu, mówi o duchowości samego tylko mechanizmu, bo że w każdym mechanizmie jest duchowość, temu zaprzeczyć nie można. Nawet w gniazdeczku ptaka i w lepiance bobra, mieści się choć iskierka ducha. Przyznaję więc, że w tych obrazach przytoczonych przez Krafta jest wielka duchowość mechanizmu, ale jeśli nie posiadają duchowéj innéj strony, to nie są obrazami takiemi, jakie w ogólnéj rozmowie o malarstwie za przykład przywodzić należy.

Gruntowna i systematyczna szkoła, powiada Kraft, jest równie potrzebną malarzowi jak muzykowi, bez niéj będzie tylko wiecznie probował. Artysta dopiéro po przejściu szkoły, jeśli ma talent, emancypuje się. Z tém twierdzeniem zgadzam się zupełnie, ale ten warunek (jeśli ma talent) omal że mi tak brzmi, jeżeli nie nawyknie: *jurare in verba magistri;* ten warunek zawiéra w sobie wszystko i czyni, że posiadając go, można się nareszcie obejść bez systematycznéj szkoły.

Takie i tym podobne z góry na akademiją spływające i działające zdania, tyczące się zawsze mechanizmu, na które odpo-

wiadam słowami Brodzińskiego czy Zaleskiego: że chcąc cuda tworzyć, trzeba w nie wierzyć, — nie dziw, że nie wywołują i nie stwarzają malarzy. Można się tu doskonale nauczyć, jak się czerwony policzek maluje lub szlifa złota, ale ztąd do malarza jeszcze bardzo daleko. Posiada wprawdzie akademija bardzo znakomitych artystów, jakiemi są np. Führich i Kupelwieser, ale ci idą samopas. Wasz przyjaciel Neuman, powiada o nich: „Szanuję tych ludzi, ale ich dążności nie podzielam, a szczególniéj formy, jaką przybrali. Tymczasem są to artysci, którzy w dziejach malarstwa szczytne zajmą miejsca. Oni to i inni podobni zwracają sztukę na tór właściwy. Przesadą wydaje się i jest ich dążność i forma, bo téż najtrudniejsza we wszystkiem jest miara: „*Złote umiarkowanie* (czyli *złota miara)* jak Niemiec powiada. Mają oni liczny poczet swoich zwolenników, nawet między uczniami akademii. Ci uczęszczając do akademii, przybiérają jednak tytuły uczniów Führicha lub Kupelwiesera. Ztąd wyraźny rozdział między uczniami jednéj akademii. Jedni wyśmiani, drudzy wyśmiewający, jedni pospolici, drudzy mystyczni i dumni. Idzie do kościoła modlić się, Faryzeusz — tak wyraża się uczeń pospolity, spostrzegłszy na ulicy ucznia Führicha. — „Każdy wiek ma swoje potrzeby i cechy; i sztuka także je miéć musi, nie zrozumiéć tego jest smiesznością" powiada Amerling.

Że tak jest a nie inaczéj, to widzimy, ale czyż dążność każdego wieku, a zatém i sztuki, może się nazwać prawdą? i czy często nie od kilku lub jednego indiwiduum, zależy nadać nowy obrót wiekowi lub sztuce?

Na tych kilku przytoczeniach kończę obraz tutejszego życia artystycznego, a teraz przejdę do samééjże publiczności. — Dopiéro w Wiedniu miałem sposobność, poznać właściwy stosunek, w jakiém publiczność do sztuki, mianowicie do malarstwa zostaje, a to chodząc razem za nią po galerijach Tam tylko, gdzie Lukrecija topi w sobie żelazo, tam tylko zatrzymuje się cokolwiek. Cóż ztąd wnosić? Oto: „*Ogół nie chce smakować w sztuce*, *lecz chce być tylko podrażnionym*" — a ztąd potwierdzenie dosyć upo-

wszechnionego zdania: że sztuka ma swoje własne życie, że nie służy ani wiekowi, ani ludziom, i że ma cel sama w sobie; a kto chce ogrzać się przy tém dobroczynném świetle, w pożyciu z nią szczęście znajdować, powinien na to zasłużyć pewnym stopniem ukształcenia. Daléj trzeba wnosić, że artysta nie powinien obziérać się na gust panujący, a jeżeli ma tę śmiałość, żyć z tego względu w rozdwojeniu z ludzmi, niech się przygotuje na zgryzoty.

Czyli i jakie z pobytu mego w Wiedniu otrzymałem korzyści, to trudno mi samemu o tém stanowić. Sądzę, iż otrzymałem najprzód tę korzyść, że będąc w ciągłém i memu powołaniu odpowiedném zatrudnieniu, mój umysł doznał wielkiego ukojenia: jestem, że tak powiem, pełen wewnętrznéj pogody. Powtóre, widziałem wszelkich mistrzów, do których wzdychałem, jak Żydzi do ziemi obiecanéj. Wyznam jednak, że miałem większe o szczycie malarstwa wyobrażenie.

Obejrzawszy sławnych mistrzów, znajduję, że artysta doszedłszy do pewnego wysokiego stopnia przestaje na tém, i środkami, jakie sobie usporzył, wydaje idee myśli lub piękności. Nie znalazłem owego bez granic współubiegania się z naturą, które uważałem za warunek i zadanie sztuki. Być może, iż moje widzenie rzeczy, było błędne w tym względzie, lub przynajmniéj przesadne; tymczasem ja chcę przy niem pozostać, bo zdaje mi się (i tak byłem nauczany), iż to jest najpewniejsza droga dojścia tam, gdzie się zostać można. Skoro artysta wyrzeknie się wyznania swéj nicości; skoro uchyli się od téj walki rywalizowania z naturą, walki pełnéj niepokojów i niekończącéj się nigdy, odtąd nie postąpi ani kroku daléj. Można to wyjaśnić przykładem malowania krajobrazów. Artysta malujący krajobraz, patrzy na okolicę, widzi ją pełną cudownego uroku, szuka barw, dobiéra, usiłuje: spojrzy na swoje płótno — o ohydo! — i z rozpaczą powraca do domu. Tymczasem w jego pamięci zaciéra się powoli żywy obraz owego niewysłownego uroku. Wszedłszy między cztéry ściany, spoziéra znowu na swe płótno — i jakże się zachwyci! — To co go do rozpaczy przywiodło, znajduje teraz równie piękném i uroczém jak

natura. Dla czegóż to? Bo jego krajobraz jest odblaskiem natury, nieudolnym wprawdzie w stosunku do dzieła bożego, ale arcydziełem człowieka. To porównanie możnaby odnieść i do malarstwa w ogóle. Co zaś bywa owego spółzawodnictwa z naturą w malarstwie przedmiotem? czy kształt, czy barwa? trudno tłumaczyć. Jabym sądził, że prócz kształtu i barwy jest jeszcze coś więcéj: owa głębokość i tajemniczość, rozlana po całéj naturze. Ale nie każdy artysta podzieli to zdanie, nie każdy zrozumie. Ja mówię: że można malować pięknie, a nie stać na owém stanowisku, o jakiém tu mowa; można malować pięknie, ale tylko *malować*. — „Strzeż się, powiadają mistrze, aby twoje obrazy nie były *malowane*. *Malowanie* a *Prawda*, oto dwa stanowiska; do piérwszego wielu, a do drugiego rzadko się kto dobija. Przypominam sobie, że raz patrząc u was na rycinę do ballady Uhlanda, mówiliśmy o tym przedmiocie. Nie każdy także artysta uwierzy, że malarz w swoim obrazie, powinien poświęcać gładkość i potoczystość dla owéj tajemnicy i prawdy. Jak w naturze na jednéj i téj saméj kuli ziemskiéj, kontrastuje się szyba kryształowego morza z minami skał, i nuta skowronków z rykiem gromów; tak nam biednym malarzom, może aż w mechanizmie dotykania pędzla, pozostało na jednym i tym samym obrazie odkraść cokolwiek z tajemnic natury owego obrazu, w którym widno, iż wszystko płynęło z pod palców. Gdzie nie widzę téj precyzyi, tego rozumu, niejako akordów stworzenia, takiego obrazu nie cenię; i dla tego to nie lubię w ogóle nowéj szkoły niemieckiéj, gdzie wymuskanie i wiecznie wymuskanie ślizga się na powierzchni obrazu, i w wymuskaniu tonie tajemnica sztuki. Rywalizując z naturą i chcąc ją odtajemniczyć, nie dość jest znać ją tak jak zwykle malarze ją znają, to jest znać drzewo, kamień, postać ludzką, jéj ruchy i t. p., ale potrzebny jest artyście taki stosunek do natury, w jakim poeta zostaje; niezbędném jest owo nieustające obcowanie z nią i napawanie się oddechem, owa miłość i roskosz, czy jak tam to nazwać. W to uwierzyć, tego zapragnąć należy, aby spłynęło błogosławieństwo na farby, a wtedy ani bę-

dziem widzieli, jak nam to przyszło. Wiem, jak szkodliwie jest dla malarza rozprawiać o malarstwie: odtykać korek z butelki, to wino zwietrzeje — ale pół roku nie mówiłem o tém, wybaczcie, żem sobie pofolgował. Prócz korzyści odniesionych z obejrzenia obrazów w galerijach, innych nie wiele mogłem uzbiérać. Treścią mego zatrudnienia w Wiedniu, było trzytygodniowe uczęszczanie do akademii i odkopiowanie trzech obrazów. Dłuższe uczęszczanie do akademii, więcéjby mi było przyniosło pożytku, lecz nie przewidując, iż mój pobyt w Wiedniu tak długo się przeciągnie, nie wstępowałem do niéj, aż dopiéro przed feriami to zrobiłem. Jeśli dłużéj zabawię w Wiedniu, będę znowu chodził do akademii, gdzie codzień w wieczornych godzinach jest wystawiony model, z którego rysując, obiecuję sobie wiele nauki. Co się tycze kopijowania obrazów, to nauka na téj drodze jest daleko dłuższa, niepewniejsza, i stoi na przeszkodzie rozwinięciu się oryginalności artysty. która w naszym wieku obwinianym powszechnie o przeżuwanie, jedynie powinna być ceniona. „Jeśli masz powiększyć liczbę kopijników—rzekł do mnie Lubomirski—to lepiéj zostań tokarzem. Do tego moje już usposobienie jest takie, iż nie mogę na téj drodze korzystać". Malarz francuski Inges, rzekł o sobie: „Ja tylko umiém to robić, czegom się nie uczył." Smiesznćm zdaje się to zdanie, ma jednak w sobie wiele prawdy i da się wytłumaczyć skłonnością do oryginalności. — W niemieckim przekładzie *Leonard'a da Vinci* czytałem: „Die Dinge in der Natur sind in so grossem Überfluss vorhanden, dass man seine Zuflucht vielmehr zu dieser Natur selbst, als zu andern Meistern nehmen soll, die doch ebenfalls zu ihr die Schule gegangen sind."

O.

NOWINY.

Van Roy we Lwowie od bardzo dawna zapisuje z największą starannością spostrzeżenia meteorologiczne. Jak powiada W. P. żaden uniwersytet polski, oprócz Wileńskiego, nie posiada obserwacyj dawniejszych, a jak sam Van Roy jednemu z podróżujących opowiadał, żaden wschód słońca nigdy nie był przezeń opuszczonym. Nadto ma Van Roy wyciągi z wszystkich pism czasowych, tyczące się zjawisk meteorologicznych podług chronologii spisywane od lat 38. Wszystkie są tam zapisane sławniejsze burze morskie i trzęsienia ziemi, pamiętne rozbiciem okrętów, lub zniszczeniem siedzib ludzkich, które się wydarzały na drugiéj kuli ziemskiéj, a obok jest umieszczona uwaga, jaki wywiérała wpływ atmosfera jednocześnie na stan barometru we Lwowie. Van Roy słyszał, iż Pusch w Warszawie pracuje nad meteorologiją Polski, a jako człowiek umysłu wyższego, pojmujący własność i spólność naukową, chętnie się skłania udzielić ku temu swoich zasobów.

Od 3 Maja r. b. zacznie wychodzić w drukarni Jaworskiego *Warszawska gazeta niemiecka* (przyjemnéj i nauczającéj rozrywce poświęcona, jak *prospekt* głosi). Redaktorem odpowiedzialnym jest M. Berthold. Zapewnie pisarze tutejsi, jak PP. Levestam, Schaffer, i t. p. zechcą wesprzéć te usiłowania. Wychodzić będzie w pokroju arkuszowym 2 razy na tydzień, w Soboty i Środy.

Romuald Podbereżski z p. Sawczeńko, wydają w Petersburgu *Ukrainę Malowniczą.* Piérwszy jest Białorusinem, drugi Ukraińcem. Ma się przyczyniać do ich pracy i M. Grabowski. Piérwszy zeszyt już wyszedł.

Statystyka Polski, dzieło wcale jeszcze drukiem nieogłoszone, miéścić się będzie w 3cim tomie zbioru dzieł Czackiego drukującym się w Poznaniu.

Łukaszewski z Mosbachem, wydali u Schlettera we Wrocławiu słowniki kieszonkowe: Polsko-Niemiecki i Niemiecko-Polski.